

Księga wyjścia – 61

18 września 2020

Ballada o pienińskich szlakach

Postanowiłem zrobić sobie urlop, oderwać od wszystkiego, zostawić za sobą świat, nabrać dystansu i tak po ludzku odpocząć. Cel – poszukiwanie zagubionej samotności.



Jeżdżę tam, gdzie mnie nogi, pociąg, fantazja i autobusy – poniosą. Szukam miejsc bez ludzi i zasięgu. Niestety, są wszędzie. Przez Katowice i Kraków dotarłem w Pieniny. Wysokich Tatr i kręte, bieszczadzkie ścieżki. Poznałem już wcześniej bardzo dobrze.

Faktycznie, można było znaleźć tam samotność. Położyć się na połoninie. I oglądać skaczące po skałach kozice.

Trudno jednak, w dobie smartfonów i wszechobecnego zasięgu całkowicie oderwać się od świata. Sytuacja na Białorusi zdominowała wszelkie inne doniesienia. Chociaż nic nowego się tam nie wydarzyło, nic nie zmieniło, to świat wrze z oburzenia. A to znaczy, że za chwilę NATO coś tam wykombinuje. Teraz szykują grunt pod interwencję, urabiając światową opinię

publiczną.

Nie trzeba być jasnowidzem z Człuchowa, by wiedzieć, że coś niedobrego się wydarzy.

Miałem się oderwać, a zamiast tego już mnie ponosi. Wszystko przez to, że mam zasięg i czytam, różne doniesienia.

Pieniny są bardzo piękne, każdy masyw, każda część gór, ma trochę inną specyfikę, wszędzie jest ciut inaczej.

Idealne dla sprawdzenia kondycji. Wędrówka po nich może dać w kość. Byłoby pięknie, ale...

Te urzekające szlaki, psują sami turyści. Z puszką piwa w dłoni, co chwilę słyszałem za plecami, że te „je..nie kamienie”, „Pier..ne góry”. No cóż, górskie szlaki są prawie zawsze kamieniste.

Pierwotnie, gdy dowiedziałem się, że wejście na Trzy Korony jest płatne, chciałem napisać felieton pełen oburzenia. Wprawdzie płaci się dopiero na szczycie – sześć złotych, więc jeśli ktoś nie dotrze, to ma całą masę wrażeń za free.

Gdy jednak zobaczyłem zachowanie ludzi, wyrzucane puszki i butelki, to przestałem się dziwić. Przecież ktoś musi to później posprzątać.

Zastanawiałem się w jakim celu ktoś, komu nie sprawia to frajdy pakuje się na najwyższe partie gór, przeklinając po drodze każdy kamień, konar, a nawet całe góry.

Jan Himilbach mawiał, „po co jeździć na wczasy, kiedy wódki można napić się w domu”.

Drogi turysto, jeśli przypadkiem trafisz w góry, a nie masz genu kozicy, albo yeti, to nie pakuj się na szlak. Po co? Posłuchaj rady Himilbacha.

Przecież możesz sobie zrobić jakiś fotomontaż. Zdjęć jest w

Internecie do jasnej cholery, a Photoshop pięknie Cię tam umiejscowi. Będzie selfik jak się patrzy, a Ty będziesz mógł wrzucić do sieci, chwaląc się znajomym jak to w trudzie i znoju pokonujesz kolejne wierchy.

Nie warto, lepiej dać zarobić właścicielowi miejscowej knajpy i wypocząć, niż przeklinać i zaśmieczać to naprawdę urocze miejsce.

Jutro wybieram się w Tatry, nie byłem tam dwadzieścia lat. Może tam znajdę ciszę.

Szczegółową relację zdam, gdy wrócę, teraz tak dla zachęty zamieszczę fragment – jedno krótkie opowiadanie – z mojej nowej książki, czyli „Utwory zebrane, powrót z dna”. Miłej lektury i do przeczytania w kolejnym odcinku.

Przy Płacu MDM

Choć brzmi to jak bajka, to nią nie jest, wiem, bo tak się składa, że poniższa historia przydarzyła się akurat mnie, ale zapewne niewielu z Was w nią uwierzy...

Zdarzyło się to blisko dwadzieścia lat temu, gdy po powrocie z niedawno zakończonej wojny w byłej już Jugosławii, na jakiś czas zrezygnowałem z pracy w dziennikarskim zawodzie. Wspomnienia z tej wojny, tego co tam widziałem, niekiedy uczestniczyłem, były tak mocne, że wszelkie krajowe tematy, pomysły czy reportaże wydawały się niewarte uwagi, a co dopiero pisanie o nich. Jedyne, co udało mi się jeszcze zrobić to napisać i w miarę sprawnie wydać książkę traktującą o tym konflikcie. Wydaniem i dystrybucją zajęło się jedno z bardziej prestiżowych wydawnictw, co nie powiem, napawało mnie pewną dumą. Doprowadziliśmy sprawy do końca – książka poszła w świat i zaczęła żyć własnym życiem, a ja powoli i o tym zapominałem. Gdy nie pamiętałem już o niczym, całkowicie się zatraciłem. Dałem się ponieść nałogom. Bez hamulców i asekuracji. Byłem już po rozwodzie i było mi wszystko jedno. Włóczyłem się więc

po świecie, pijąc na umór w różnych miastach u znajomych w hotelach lub melinach. Póki były pieniądze, wszystko wydawało się w porządku. Bardziej chcąc niż nie chcąc, zapijałam się na śmierć. Marzyłem, by któregoś razu nie ocknąć się po libacji. Nie piszę obudzić, bo zatraciłem pory dnia i nocy. Budziłem się i piłem, piłem tak długo, póki nie zasnąłem.

Wylądowałem w końcu w Warszawie – po kilku dniach ostrego melanżu w stolicy spłukałem się wreszcie do zera. Popłynęły wszystkie zarobione wcześniej pieniądze. A nie było ich mało. W końcu stałem wraz z dwoma kumplami na placu MDM bez grosza i patrzyłem z chodnika w okna jakiejś drogiej, eleganckiej restauracji. Prószył lekki śnieg, nawet miło było popatrzeć, jak ludzie dźwigają zapakowane świąteczne prezenty. Nie znałem dokładnej daty, ale według tego, co widziałem, nadchodziły święta. Ktoś niósł choinkę, w licznych butikach wzmożony ruch, a prawie każdy wychodził z czymś w ładnie zapakowanym pudełku, lub specjalnej torbie z Mikołajami, gwiazdką i tym wszystkim, z czym kojarzą się święta Bożego Narodzenia. Przeszywało mnie upiorne zimno będące konsekwencją zarówno niskiej temperatury, mroźnego wiatru, ale – przede wszystkim – ulatującego z organizmu alkoholu. Gapiłem się na tę restaurację przypominając sobie, że jeszcze nie tak dawno sam bywałem w niej gościem. Wpadałem na obiad, albo zapraszałem znajomych. Niedaleko stąd była jedna z kilku redakcji, w której pracowałem, zaliczanych do najbardziej opiniotwórczych, a zarobki przewyższały moje potrzeby. Życie układało się pięknie. Wojna jednak skutecznie przerwała tę sielankę. Nie czułem ani żalu, ani rozczarowania. Tylko ten przenikliwy ziąb. Nie miałem też pomysłu dokąd pójść i kogo odwiedzić. Zresztą i tak, jeśli nie było to pijackim złudzeniem, trafiłem na termin tuż przedświąteczny, co zdawały się potwierdzać pootwierane sklepy, wystrój miasta i ci ludzie z prezentami. Jedyne, co czułem to lekką zazdrość, że mają gdzie pójść, ten obraz w mojej głowie wyidealizował ich rodziny. Taka projekcja własnych pragnień.. Tak czy inaczej, nie był to dobry moment składania niezapowiedzianych wizyt niedawnym znajomym. Tym

bardziej, że było nas trzech, przecież nie zostawię kumpli na łasce najbliższej ławki. Galerie handlowe dopiero raczkowały i najbliższa to chyba była Promenada. To też nie miało znaczenia, bo nawet gdyby już funkcjonowały, to i tak nie miałbym o tym pojęcia. Jedyne co nam zostało to dworzec centralny. „Poratuje pan złotówką?” – zapytał mijający mnie żebrak. Popatrzyłem na niego chyba lekko rozbawionym wzrokiem, przecież widać było, że sam jestem mocno skacowany, zżulony, i nie wyglądałem jakbym wyskoczył spod prysznica. Fakt, miałem na sobie markowe ubrania, ale były już mocno zapuszczone po tych wszystkich wcześniejszych podróżach, pociągach, autobusach i melinach. Zdziwił mnie, ale ponieważ zwykle odpowiadam, gdy ktoś się do mnie zwraca, to i jemu odpowiedziałem – „Chłopie, nie widzisz, że ledwo się na nogach trzymam?”

Przecież dałbym sobie rękę obciąć za ćwiartkę, a za piwo palca”. Zatrzymał się i przeszył mnie wzrokiem – „Nie masz pieniędzy?” – zapytał – „Ani grosza” – odpowiedziałem. „To masz” wcisnął mi w dłoń monetę i poszedł dalej. Nie było tego dużo, odebrałem to jako symboliczny gest. W otwartej dłoni przyglądałem się dwudziestogroszówce, którą mi wręczył. Nie wiedziałem, śmiać się, płakać czy pójść do lombardu zastawić ostatnią cenną rzecz jaka mi została, czyli telefon. W trakcie podejmowania decyzji, gdy już byłem skłonny ruszyć jak najszybciej do znanego mi lombardu przy ulicy Emilii Plater, telefon ten zadzwonił. Oczywiście, odebrałem natychmiast. Był to dyrektor wydawnictwa, które wydało moją książkę. Powiedział, że hurtownie przesłały mu część pieniędzy i chciałby się ze mną na bieżąco rozliczyć. Zapytał, kiedy będę w Warszawie, ewentualnie czy wolę przekazem, czy na konto. Niemalże krzyknąłem z wrażenia: powiedziałem mu, że jestem w centrum i w ciągu pół godziny dotrę. Po tym rozliczeniu, kupiłem sobie ćwiartkę wódki, by jakoś dojść do siebie zostawiając część kasy kolegom, którzy cierpieli jak ja, po czym wsiadłem w pociąg i pojechałem do domu, by następnego dnia zgłosić się na odtrucie. To był przełom. Bez trudu

odbudowałem pozycję i finansową stabilizację, jednak do zawodu dziennikarza wróciłem dopiero po dziesięciu latach, a po odtruciu i pierwszej terapii zająłem się handlem obrazami. Otworzyłem galerię w Kazimierzu Dolnym. Trafiłem na złoty okres tej branży i naprawdę szybko zarobiłem niewielką fortunę. Ale to już temat na osobne opowiadanie...

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info